

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Przy mikrofonie Martyna Matwiejuk. Dziś w Audycjach Kulturalnych porozmawiamy o książce i bardzo szczególnej dla polskiej kultury postaci, której ta książka dotyczy. Moim i Państwa gościem jest Marcel Woźniak, witaj.

MARCEL WOŹNIAK: Dzień dobry, witam wszystkich słuchaczy, witam ciebie.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Okazją do naszego spotkania jest nadchodząca premiera twojej drugiej już biografii Leopolda Tyrmanda. “Tyrmand - pisarz o białych oczach” ukazuje się czternastego października nakładem Wydawnictwa Marginesy. To jest twórca, którym zajmujesz się od lat. Zarówno w swojej działalności pisarskiej, jak i naukowej. Zanim o książce, powiedz mi proszę, dlaczego w ogóle Tyrmand?

MARCEL WOŹNIAK: Dziękuję w ogóle za zaproszenie i cieszę się, że to się zbiega z premierą mojej książki “Tyrmand - pisarz o białych oczach” i mogę w zasadzie nawiązać do tego tytułu, nawet specjalnie się na to nie siląc. Po prostu mi się kiedyś rozpałyły oczy na białe od lektury “Złego”, czyli powieści Leopolda Tyrmanda, a było to tak, że blisko trzynaście lat temu, na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, pewien zacny profesor Andrzej Stoff, znawca twórczości Lema, Ingardena, czy Sienkiewicza, zobaczył na zajęciach takiego roztrzepanego studenta w czerwonych włosach i to byłem niestety ja. „Stety”, niestety... Trafiłem tam dość przypadkiem, zajęty raczej graniem jakiegoś rocka w zespole niż pracą naukową, no i on chyba chciał sprawdzić, czy takiego łobuza można złapać na jakiś haczyk i dał mi coś spoza kanonu lektur, bo Tyrmand na liście lektur nie było, i powiedział mi: “Wie pan, jest taka książka pod tytułem “Zły”. Przeczyta pan, powie co o tej książce myśli, czy coś da się dzisiaj o tej książce coś napisać na przykład. Czy ta książka jest w ogóle aktualna, czy ona żyje?” Innymi słowy jaka jest tak zwana recepcja tej książki. Ja nie wiedziałem za bardzo kim jest Tyrmand, nie jestem warszawiakiem. ale tę książkę przeczytałem i zrobiłem to w zasadzie w jedną dobę. W półtora zasadzie dnia przeczytałem tę książkę i moje oczy naprawdę paliły się na białe. Na widok jakby liter w książce sprzed kilkudziesięciu lat, która po prostu była niezwykła, w sposobie kreacji świata, poetyki, ale też tego całego klimatu tyrmandowskiego. Tak się zaczęła moja przygoda z Leopoldem Tyrmandem. Później moje losy się gdzieś tam różnie plotły, w każdym razie w roku dwa tysiące piętnastym obroniłem pracę na uniwersytecie, poświęconą wizerunkom Leopolda Tyrmanda i temu, że w zasadzie nie wiadomo, kim jest Leopold Tyrmand, że mamy pewnego rodzaju wizerunki i luki nawet wizerunkowe, tożsamościowe, że nie bardzo wiadomo, kto to jest, bo nie ma biografii. Są jakieś wycinki. No i stąd mnie droga wywiodła do napisania książki biograficznej, pierwszej mojej książki o Tyrmandzie pięć lat temu. W zasadzie tak się zaczęła moja przygoda pisarska w ogóle, bo zacząłem potem pisać powieści, natomiast w tym samym czasie,

dalej z Tyrmandem podróżowałem, jeździłem i się okazało, że to nie był koniec przygody z Tyrmandem, ale początek.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: W dwa tysiące szesnastym roku ukazała się twoja pierwsza książka o Tyrmandzie. “Moja śmierć będzie taka, jak moje życie” - pierwsza oficjalna biografia pisarza. Minęły cztery lata i dzisiaj rozmawiamy już o kolejnej książce na ten temat. Zastanawiam się, czy to było jakieś konkretne spotkanie, wydarzenie, może jakaś myśl, która popchnęła Cię do tego, aby w tak stosunkowo krótkim czasie ponownie przyjrzeć się temu życiorysowi, no bo ewidentnie ten Tyrmand nie daje ci spokoju.

MARCEL WOŹNIAK: Wydaje mi się, że każda historia, która się opowiada czy pisze, czy filmuje, czy po prostu opowiada tak, jak chociażby my teraz. Przeczytałem kiedyś to u Kundery i zawsze dobrze mieć jest jakiś fajny cytat w rękawie, prawda? Wtedy człowiek tak mądrzej brzmi. Nie przygotowałem go specjalnie na tą okazję, ale akurat ten pamiętam, że dobra historia mówi czytelnikowi, czy widzowi, że świat jest bardziej złożony niż nam się wydawało. Rzeczywistość jest bardziej złożona niż nam się wydaje. Zobacz, o czym jest mowa w tej historii, zobaczysz jakiś odcinek rzeczywistości, którego nie znałeś. Tyrmand, mam wrażenie, że troszkę tak do mnie mówił, poprzez swoje zapiski, dokumenty, całą historię. Jego życie było bardziej złożone niż nam się wydaje. I nagle się okazało, że ten człowiek w kolorowych skarpetkach był kimś zupełnie innym. Ja, pisząc pierwszą książkę, miałem takie nieodparte wrażenie wielkiej niesprawiedliwości, jaka go spotkała - dziejowej. Broń Boże nie mam tu na myśli jakiegoś paliwa patriotyczno-politycznego w tej opowieści. Po prostu, wiesz co? Jak się spojrzy teraz na tak zwaną “topkę” książek, to tam w tej „topce” jest pięć książek o Agnieszce Osieckiej czy Marku Hłasce. I kolejne kopy książek o nich powstają. O Tyrmandzie książek powstało kilka i żadna z nich, tak naprawdę nie dotykała istoty problemu i poznając historię Tyrmanda, zdałem sobie sprawę, że wiele o nim jeszcze nie opowiedziano, bo jeśli ktoś zostaje ocenzurowany, a później znika fizycznie z rzeczywistości, wyjeżdżając za granicę, mijają dekady, później człowiek umiera, to co my właściwie o nim wiemy? Jeśli ten człowiek nie tworzył przez dziesięć-dwadzieścia-czterdzieści lat w Polsce. Nie miał setek tysięcy znajomych, przyjaciół, widzów, czytelników, którzy by o nim opowiedzieli, to zostają nam jakieś historie, jakieś takie odpryski. Ja pisząc pierwszą książkę pozbierałem te szkiełka tak, jak potrafiłem. Natomiast jak je poskładałem w całość, to się okazało, że dopiero to jest początek historii. I zasadne jest pytanie “Po co piszesz drugą książkę, na jakiś temat?”, prawda? Przecież odkłada się temat na bok, idzie się za kolejnym tematem, a nie się - jak to inni powiedzą - że się odgrzewa kotlety, czy coś w tym rodzaju. Tu było trochę inaczej. Ja wskoczyłem od razu jakby w inny pociąg. Zacząłem pisać inne rzeczy, ale tak jak wspomniałaś w pytaniu - ta historia mi nie dawała spokoju, nie dawały mi spokoju spotkania, chociażby które się odbyły z ludźmi, którzy Tyrmanda znali. Ja tego Tyrmanda zacząłem szukać i on mnie znów sam znalazł, ponieważ książka ma to do siebie, że ona zaczyna żyć, kiedy jest czytana, kiedy jest odczytywana. Ja podczas spotkań autorskich, podróży, poznałem setki

ludzi, którzy opowiadali mi historie o Tyrmandzie, albo coś mi podestali, albo powiedzieli, nakierowali. Nagle się okazało, że ta historia, po pierwsze w sensie ilościowym historii jest dużo więcej, więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby napisać książkę pełną historyjek i anegdotek, ale chodziło o coś dużo bardziej poważnego. Chodziło o tak zwaną prawdę. O prawdę czasu, prawdę historyczną, literacką.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Wiesz, wydaje mi się - takie mam odczucia po lekturze tej książki - że bardzo głęboko udało ci się wejść jako reporterowi do tego świata wokół Tyrmanda. I te spotkania, o których wspomniałeś też bardzo ciekawie opowiedziane są na stronnicach książki. Bardzo podobał mi się ten moment, w którym wspomniałeś, że doprowadziłeś do spotkania Matthew Tyrmanda i Marii Konwickiej, czyli potomków Leopolda Tyrmanda i Tadeusza Konwickiego - dwóch myślicieli, których ścieżki niegdyś się przecinały. Rzeczywiście ta twoja, nazwijmy to więź z Tyrmandem stworzyła taką szeroką siatkę powiązań i doprowadziła Cię do wielu osób. Czy mógłbyś się podzielić jakimś szczególnym spotkaniem, do którego doszło podczas prac nad tą książką?

MARCEL WOŹNIAK: Ojej, no przyznam szczerze, że bardzo dziękuję, przede wszystkim za takie słowa, że faktycznie to w tej książce znalazło odbicie, to się bardzo cieszę. Wydaje mi się, że starałem się opisać te z historii, które faktycznie były najważniejsze. Na pewno mogę powiedzieć o panu Jerzym Przeździeckim, to jest pisarz, nestor polskiej literatury. Mieszkając obecnie na Solcu w Warszawie. Człowiek, któremu Tyrmand w zasadzie uratował życie, ale i sam Jerzy, był człowiekiem, który rzucił wyzwanie komunizmowi. Pewnego razu w Warszawie podczas spektaklu „Porgy and Bess”, musicalu w pięćdziesiątym szóstym roku, poproszony przez, proszę mi wierzyć, prezydenta Stanów Zjednoczonych, Dwighta Eisenhowera, napisał przemówienie w imieniu Eisenhowera potępiające komunizm. Dwight Eisenhower zadzwonił do Przeździeckiego. Powiedział: „Pan napisze krytyczne słowa o komunizmie i pan się podpisze, że to ja powiedziałem, żeby panu nic nie zrobili.” Ale stało się tak dlatego, że Jerzy Przeździecki pracował po wojnie w ambasadzie amerykańskiej, był tłumaczem, miał kontakty i Amerykanie uznali, że premiera takiego musicalu jak musical „Porgy and Bess” to jest dobry moment, zwłaszcza w trakcie tak zwanej odwilży politycznej, żeby taką manifestację zrobić. I ten człowiek opowiada mi o tym, jakby to było wczoraj, a potem opowiada mi - „Pan chciał o Tyrmandzie rozmawiać, to ja panu powiem.” I opowiada, jak wyszedł pobity przez służby pod koniec lat czterdziestych, gdzieś tam w Warszawie. Cały zakrwawiony, bez zębów, ze złamanym nosem i wszyscy ludzie schodzili mu z drogi, bo się go bali. Bali się mu pomóc, ta obojętność, to jedenaste przykazanie, żeby nie być obojętnym, no to ludzie byli obojętni, oprócz jednego człowieka. Jak Przeździecki zobaczył go, to był przekonany, że facet go zaraz pobije albo okradnie. A ten człowiek go wziął pod rękę, zaprowadził do hotelu, obmył, nakarmił, przebrał, umył. I to był Tyrmand. Obcy facet, po prostu mu pomógł. Jerzy Przeździecki płakał, mówiąc o tym. Jakby nie chcę tu - broń Boże - Państwa nabierać na łzawą historię o starszym człowieku, który wzruszał

się podczas opowieści, bo można by w taką stronę pójść w tej historii. Jakie to przeżycie, prawda? Wspominać z kimś jego młodość. To po prostu jego prawdziwa historia, prawdziwe emocje, prawdziwego człowieka, które trzymał w sobie bardzo długo i którymi się ze mną podzielił, i ja czułem, że to jest duży zaszczyt, odpowiedzialność móc tę historię przekazać dalej. Podobnie było - ja mogę połączyć to pytanie z poprzednim, czyli pytanie na temat wtórnego wznawiania biografii. Ja spotkałem się z córką Tyrmanda i jego trzecią małżonką, wdową po nim, kilka lat temu i spotkałem się teraz. I nagle się okazało, że tak jak Lew Tołstoj pisał, najlepszą odpowiedzią na wszystko jest czas i cierpliwość, tak też się stało w przypadku historii. Nie zdarzyło się, żeby ktoś po trzech latach wrócił do nich i zadał im podobne pytania. Nagle się okazało, że oni przemyśleli te pytania, że te pytania z nimi zostały, że o nich rozmawiali i przyjechałem po kilku latach, żeby się z nimi spotkać, i oni powiedzieli mi coś zupełnie innego, bo to po prostu dał czas. Mianowicie szczerłość, otwartość, zaufanie. Na przykład okazało się, że prawdy o Leopoldzie Tyrmandzie niekoniecznie mogłem się dokopać czy dociec do niej, przyjeżdżając na kilka dni do kogoś na wywiad. Prawdę obiera się jak cebulę. Ktoś zobaczywszy moje starania przez lata na rzecz popularyzowania twórczości Tyrmanda, na rzecz w cudzysłowie, znów nie chcę górnolotnie zabrzmieć, ale jakiejś takiej obrony czy oddania sprawiedliwości dziejowej Tyrmandowi. Ktoś poświęcił swój czas, żeby przejrzeć archiwa, przeczytać korespondencję, przypomnieć sobie coś i kiedy spotkałem się po trzech latach z Mary Ellen Tyrmand i Rebeccą Tyrmand, to nagle się okazało, że to są zupełnie inni ludzie. Znaczą Ci sami, ale mówiący w inny sposób. Zaproszenie ich, wspólna podróż chociażby na cmentarz, by odwiedzić grób, gdzie Mary Ellen nie tylko zebrała nas tam, ale przygotowała specjalną modlitwę, o której przygotowanie poprosiła zaprzyjaźnioną osobę, żeby napisała taki specjalny poemat na cześć Tyrmanda, który mogliśmy przeczytać. Właśnie tego dnia, drugiego, czy trzeciego października chyba, rok temu. To było coś wyjątkowego i magicznego w tym spotkaniu. Wiele było takich historii. W zasadzie każda rozmowa, którą opisuję w tej książce, to jest taka emocjonalna historia, bo ktoś po czasie odkrywa swoją prawdę. Zdradza jakąś swoją prawdę na temat Tyrmanda, ale też na temat tego wszystkiego, co się wokół niego dzieje. Zaczęłaś pytanie od Marii Konwickiej, od Matthew. Ja Marię Konwicką poznałem przypadkowo w zasadzie. Przekasz przypadkowo w takim sensie, że w Toruniu na mojej uczelni wisiał plakat promujący film w reżyserii Marii Konwickiej i to był film dokumentalny "Aktorka", poświęcony życiu i twórczości Elżbiety Czyżewskiej, która wyemigrowała do Stanów i mieszkała w Nowym Jorku przez lata. Ja po pokazie tego filmu podszedłem do Marii, umówiliśmy się na drugi dzień na kawę i się z miejsca zaprzyjaźniliśmy. Nie mogłem sobie odmówić by jej powiedzieć: "Słuchaj Marysiu, ja byłem wielkim fanem twórczości swojego ojca. Ja marzyłem, żeby poznać Tadeusza Konwickiego, ja cytowałem całe strony z pamięci "Małej apokalipsy" w liceum, ale wydawało mi się, że spotkanie Tadeusza Konwickiego, to coś nie z tej ziemi. Nie da się tak po prostu poznać pisarza, to jest jakby zastrzeżone dla dziennikarzy czy kogoś nie wiadomo jakiego". Na co ona powiedziała: Wiesz, gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że chce poznać mojego ojca i ja bym mu to przekazała, to on by się, nawet nie wiesz jak by się ucieszył. On by zrobił wszystko,

żeby porozmawiać”. Niechętnie udzielał wywiadów, natomiast porozmawiać o literaturze, o książkach - zawsze. On codziennie chodził tą samą ścieżką, tą samą trasą przez ten swój fantastyczny Nowy Świat, do tych samych kawiarni, do tych samych miejsc. Spóźniłeś się o kilka miesięcy - powiedziała. To była taka podróż reporterska przez życie, nie tylko Tyrmanda czy moje, ale też przez życie innych ludzi. Bardzo wzruszająca, czasami bolesna i trudna dlatego, że jednak trzeba te emocje oddzielić od faktów. Trzeba do tej prawdy gdzieś tam zmierzać. Mam nadzieję, że udało mi się to tak zrobić, że czytelnicy jakby uwierzą w to co piszę i zobaczą to tak, jak ja to widziałem.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Rzeczywiście na kartach książki pojawia się wiele wspomnień różnych osób, które towarzyszyły Tyrmandowi w różnych momentach jego życia, zresztą jego historia jest bardzo burzliwa, wielowątkowa i wielobarwna. Jakiego Tyrmanda ty widzisz najczęściej? Czy apostoła jazzu, czy pisarza miotającego się w opresyjnym systemie, czy może dojrzałego, ustatkowanego myśliciela już z tych czasów amerykańskich? Jaki Tyrmand jest ci najbliższy?

MARCEL WOŹNIAK: No, [ZE ŚMIECHEM] ten najprawdziwszy, to znaczy, dla mnie Tyrmand jest - oczywiście znów mogę naszykować tezę, z którą się Państwo nie zgodzą, bo każdy ma swojego Tyrmanda - ja pomimo tego, że jestem biografem, jednak też koniec końców jestem w jakiś sposób obiektywny. Ten Tyrmand, który jest mi najbliższy, to jest ten Tyrmand optymistą, samotnik, marzyciel. Tyrmand, który zamyka oczy przed snem i marzy o tym, że kiedyś będzie wielkim pisarzem, który marzy o tym, że kiedyś wyjedzie z domu rodzinnego i zobaczy cały świat, który zamyka oczy będąc w obozie pracy, gdzieś tam na pryczy śpiąc i marzy o Warszawie, i zamyka oczy z pustym żołądkiem, bo jest głodny i marzy o wolności, o wielkiej literaturze, cofa się wspomnieniami do czasów, kiedy był zakochany i nieszczęśliwy. Mój Tyrmand to marzyciel, to człowiek, który po prostu się nie boi sięgać po to, o czym marzy. Dla mnie to jest historia o białych oczach, które rozpalają się, kiedy marzymy o czymś i dla mnie Tyrmand był marzycielem, który z całej gałęzi prawdopodobieństwa i różnych możliwości, tutaj odsyłam do różnych teorii od neurolingwistyki po programowanie, jakieś mnemoniczne czakry, self-coaching, self-mastering, no myślę, że Tyrmand byłby dzisiaj świetnym coachem, tak na marginesie.

[ŚMIECH]

MARCEL WOŹNIAK: Natomiast dla mnie jego historia, jego biografia, to jest właśnie biografia człowieka, który z całej gałęzi możliwości i prawdopodobieństwa bierze tyle, ile się da. Nie boi się przeciwności losu, ryzyka, ponieważ wie, że czasami tylko przez ucho igielne można dojść tam, gdzie się chce. Ja mam wrażenie, że on przez to ucho igielne się przeciskał przez całe życie i chyba dlatego ludzie tak Tyrmanda lubią. Oczywiście można mówić o jazzie, skarpetkach, książkach, ale w każdej z tych rzeczy proszę zauważyć, odbija się jego marzycielstwo, jego wola tak zwana. W każdej z tych

rzeczy odbija się po prostu jego jestestwo. W tej książce o superbohaterze, której nikt nie napisał, w tym dzienniku, który pisał praktycznie do szuflady, brutalnie opisując komunizm, tych skarpetkach, które nosił chociażby nie tak, jak w anegdotach się mówi, bo nie były czerwone ani takie pstrokate i w tym jazzie, którego nie wymyślił, ale go tak opakował i tak sprzedał, że uznamy go za apostoła, czy guru jazzu.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A propos tego marzycielstwa i jazzu również, to myślę sobie, że Leopold Tyrmand byłby niezwykle dumny i zadowolony, gdyby był z nami, oczekiwał na zbliżający się wielkimi krokami Festiwal Jazz Jamboree. To już sześćdziesiąta druga odsłona w tym roku. Przypomnijmy, że to właśnie Tyrmand jest autorem nazwy i założycielem tego wydarzenia. O wpływie pisarza na polski jazz i popularność jazzu w Polsce już zostało wypowiedzianych i napisanych wiele słów, więc zapytam Cię, dlaczego w twoim odczuciu Leopold Tyrmand tak ukochał właśnie jazz?

MARCEL WOŹNIAK: Wydaje mi się, że moglibyśmy dzisiejszym językiem mówiąc, powiedzieć, że Tyrmand od najmłodszych lat był komparatystą albo antropologiem kultury. On bardzo wcześnie - jak to mówi młodzież - posklejał sobie pewne tematy. On bardzo wcześnie pojął, jak wiele płaszczyzn rzeczywistości się przenika. Tak można powiedzieć konwergentnie. On bardzo szybko zauważył, że w tak zwanej balladzie ulicznej, takim zaśpiewie, jakiejś "Czarnej Mańce" czy innej piosence granej, czy śpiewanej gdzieś tam na Różycu, na Koszykach, gdzieś na Stadionie, w jakiejś alejce, uliczce w Warszawie, że jest pewna specyficzna nuta i specyficzna wola śpiewania czegoś, na temat ludzkiego życia. Kiedy on potem zaczął słuchać jazzowych utworów, to pojął, że to jest to samo. Nie wiedział, że jazz to była muzyka niewolników, to była muzyka, która wyrosła z poplątania gospelu z kolei przywiezionego przez białych ludzi i jakichś zaśpiewów przywiezionych przez imigrantów z Afryki, a później z Hiszpanii i też Włoch. Wreszcie przerobiona, zrytmizowana, a później śpiewana tam, gdzie ci ludzie pracowali, narzekając na swój los, albo dając nadzieję innym, śpiewając sobie dla otuchy, dla rozrywki. Nagle się okazało, że we wszystkich miejscach świata ludzie robią podobnie. On pewnie nie mógł o tym wiedzieć, a potem się nagle okazało, że tak właśnie jest. To był człowiek niezwykle ciekawski świata. Nagle się okazało, że w tamtych czasach, w latach trzydziestych jazz był czymś niezwykle nowatorskim, nowoczesnym, wolnościowym, po prostu czymś co wykracza poza gatunki, poza ramy myślenia o muzyce. I on ten jazz usłyszał w radiu, na Stadionie Legii z kolegami się kąpiąc w wakacje, bo w tamtych czasach to się nie jechało na wakacje, tylko zostawało w Warszawie, żeby chodzić na Legię, bo to było po prostu najważniejsze miejsce kulturalne na mapie Warszawy. A potem, kiedy pojechał do Paryża, to zobaczył, że nie tylko on tak ma. Że w tej stolicy kultury i muzyki świata, ten jazz wprawia w pulsację aż Wieżę Eiffla. W połączeniu jeszcze z kulturą zazou, kraciastych spodni, marynarek, kolorowych skarpetek, jakichś butów niezwykłych, kapeluszy, wypchanych czapek, także to jest cała subkultura ludzi młodych, którzy mówią: "Hej świecie, idziemy po ciebie" i chyba Tyrmand, po prostu widział w jazzie egzemplifikację ludzkiego pędu ku przyszłości,

ale też sięganie do tradycji, do źródeł muzyki, bo tak naprawdę cała współczesna muzyka wzięła się od jazzu i od bluesa. On to wiedział bardzo wcześnie. Nie będąc żadnym profesorem, teoretykiem, po prostu był takim człowiekiem z ludu, takim „Złym” można powiedzieć po prostu, który to wyczuł i jak się później prześledzi jego biografię, to on wszędzie ten jazz wyłapywał. Czy to nawet na pryczy w obozie, gdzie nucił utwory, czy gdzieś tam w Niemczech, jako Żyd ukrywający się w Niemczech z jakimś nazistowskim oficerem, który słuchał tego jazzu, więc te historie go zawsze goniły i odnajdywały. Tak powstało Jazz Jamboree później, którego nazwę on wymyślił, chociaż potem był teorie czy on to przeczytał może wcześniej i zostało mu to w głowie, czy wymyślił to etymologicznie od podstaw. Ogólnie chodziło o taki świergot, można powiedzieć. Jazz, czyli taka, świergoczące, rozmawiające ze sobą instrumenty, coś w tym rodzaju. I tak naprawdę mamy teraz sześćdziesiątą drugą rocznicę Jazz Jamboree, ale w sumie to będzie sześćdziesiąta czwarta rocznica festiwalu jazzowego, ponieważ najpierw był Sopot pięćdziesiąt sześć i Sopot pięćdziesiąt siedem, a potem festiwal przeniósł się do Warszawy i już pod nazwą Jazz Jamboree był kontynuowany. Z kolei pierwsze koncerty jazzowe, to były lata czterdzieste i faktycznie, kiedy nagle poskłada się to, co mówiłem o Tyrmandzie, to nagle się okaże, że on przyjeżdża po wojnie do Polski, opowiada o tym ludziom o tym, czym jest jam session, że widział w Paryżu, Wilnie, We Frankfurcie, w Koblencji i w Oslo jam session, że mamy tam konferansjera, że ludzie grają sobie solówki, improwizują, tańczą, skaczą, że jakiś program artystyczny wokół tego jest zbudowany, że zapominamy o tym starym jazzie i idzie nowy jazz. Zmieniamy się, bibop, swing, modern jazz, wszystko się miesza. Ci ludzie w Warszawie, w Łodzi, w tych dużych ośrodkach muzycznych, w Krakowie słuchali Tyrmanda jak wyroczni, chociaż nie zawsze wiedzieli, o co mu chodzi. On był jednak też teoretykiem, a oni chcieli grać. Natomiast całe to pokolenie jak Andrzej Trzaskowski, Duduś Matuszkiewicz, Krzysztof Komeda Trzciński, Kurylewicz, Wróblewski, Wojtek Karolak - to byli ludzie, dla których Tyrmand był guru. To są ich słowa, on był dla nich guru jazzu. Do dzisiaj tak naprawdę, jak się rozmawia o jazzie, to zawsze musi paść nazwisko Leopolda Tyrmanda. No nie wiem, pierwsi ludzie z brzegu jacy przychodzą mi do głowy, Wojciech Karolak, który Tyrmanda znał i Tyrmand sam kiedyś powiedział, że go „usynawia”, jak usłyszał jak gra. Hirek Wrona, znany państwu prezenter muzyczny, DJ i znawca muzyki uwielbia Tyrmanda, on ze „Złym” chodził po Warszawie od kamienicy do kamienicy śladami bohaterów, czy pan Paweł Brodowski, redaktor naczelny „Jazz Forum”, też wielki fan i znawca Tyrmanda. Tyrmand rozpala na biało oczy do dzisiaj także jazzmanom, jako ten człowiek, który może nie był największym muzykiem, bo nie był muzykiem, ale był tym, który pokazał, jak to można robić, jak można mówić o muzyce, jak można ją - nie chcę powiedzieć produkować, bo to jest takie współczesne słowo - ale tworzyć i opakowywać w formie gotowego całościowego konceptu, występu, festiwalu. On był pierwszym, który widział, że można tak zrobić i to jest przedziwne, że pisarz, o którym mówimy, jednocześnie w innym środowisku zawodowym, zupełnie inną figurę pełni. Przez tyle lat, aż do dzisiaj.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Historia twojego bardzo ciekawego spotkania z Pawłem Brodowskim też jest do znalezienia w książce, która w ogóle pełna jest intrygujących wątków i interesujących subtelności związanych z pisarzem, ale może nie zdradzając za wiele, pozostawimy tę przyjemność przyszłym czytelnikom. Na zakończenie zapytam cię pytaniem, które stawiasz w jednym z ostatnich rozdziałów. Czy Tyrmand był geniuszem?

MARCEL WOŹNIAK: Tak, myślę że był. Natomiast też warto sięgnąć do tego rozdziału po to, żeby dowiedzieć się w czym tkwi istota geniuszu. Ja tam przytaczam innego polskiego geniusza - Ludwika Flecka. Wybitny twórca, którego dzieła po latach zostały odkryte. W jednym ze swoich dzieł opisał właśnie, czym jest fenomen geniuszu, więc ja spróbowałem nałożyć ten jego aparat badawczy na Tyrmanda i z tego aparatu wyszło, że Tyrmand jest geniuszem, człowiekiem, który przenika przez różne ściany. Tak, jak mówiliśmy o tym jazzie i muzyce, albo tych jego perypetiach, podróżach po świecie, zawsze obiera miejsce, z którego najwięcej widać. Jest człowiekiem, który przenosi rzeczy przez ściany z jednego miejsca do drugiego, te idee, pomysły. Dla mnie był geniuszem, ponieważ robił rzeczy zupełnie inne niż wszyscy. Robił je bardzo dobrze i nie było człowieka, który o Tyrmandzie nie mówił, że to był człowiek nie do podrobienia. Nie było drugiego takiego. Zarówno w sensie personalnym, jak i artystycznym.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Marcel Woźniak był dziś gościem Audycji Kulturalnych. Biografia jego autorstwa, zatytułowana "Tyrmand. Pisarz o białych oczach" ukazuje się czternastego października nakładem Wydawnictwa Marginesy. Bardzo dziękuję za tę rozmowę.

MARCEL WOŹNIAK: Dziękuję serdecznie za zaproszenie i życzę wszystkiego dobrego Państwu.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie